

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

4 Ludwik uśmiechnął się. Z dźwiękami gondoliery spływało na niego jakieś miłe, łagodne rozmarzenie... Wspomnienia tłoczyły się w myśli. Sereuady mandolinowe... toż to była specyalność jego za czasów studenckich... O! Jak to dobrze, że pomimo wojny są jeszcze chłopcy, którzy w pogodny wieczór przy akompaniamencie mandolin przypominają ludziom, że młodość, wiosna i miłość nie umarły...

Nie zdola ich zdruzgotać ni piekielny ogień armat, ni zmożą karabiny maszynowe, gazy trujące i inne wynalazki techniki, które wymyślił człowiek, aby zabijać człowieka.

„To chwila szczęścia — cudny sen
Dla rozkochanych dusz,
Błękity nieba giną hen
I fale pomknęły już.
Tam z brzegu dolata tęskny śpiew
I słodki zapach róż,
A serce drży i płonie krew
Ach! Usta się łączą już...”

Rażycki minął ławkę, na której siedziała jakaś młoda para. Młodzieniec pochylony ku dziewczynie szeptał: — Ty szczęście moje... Ty moja złota, złota dziewczyno...

Z innej ławki biegnie również cichy szept:

— Więc jutro o tej samej porze, dobrze?...

Ludwik westchnął... Zrobiło mu się smutno, tęskno, poczuł się samotnym i opuszczonym... Dlaczego niema i on jakieś swojej dobrej, kochanej dziewczyny, z którą mógłby w ciszy letniego wieczoru tonąć w miłosnym rozmarzeniu.

Aha! Prawda, jest pani Ada... Powrotna fala wstrętu wstrząsnęła mężczyzną.

Zatrzymał się. Może wrócić i iść do matki?...

Ale nie... miał ochotę iść tak jeszcze przed siebie bez określonego celu.

Skierował się przez ulicę Wolską ku Błoniom...

Po drugiej stronie ulicy spostrzegł wysmukłą postać kobiecą, której ruchy wydały mu się jakieś znajome...

Zaciekawiony, przeszedł na drugi chodnik i spojrzał.

Poznał regularny profil panny, którą Witowtówna nazwała Helą Lidzińską, poznał dziewczynę o bladej, smutnej twarzy i oczach głębokich, tajemniczych jak morze.

Zaczął iść za nią... Nie zdawał sobie dokładnie sprawy z tego, dlaczego to robi.

Nie chciał zaczepiać, zresztą w twarzy panny Lidzińskiej było coś, co usuwało wszelką myśl o trywialnych, ulicznych zaczepkach...

Szedł jednak, jakby bezwolnie, pociągany magnetycznym urokiem ciemnych oczu.

Panna zdawała się nie zwracać na niego żadnej uwagi.

Przeszli tak wzdłuż całej ulicy. Dochodzili już do Błoni, kiedy nagle panna zatrzymała się i zwróciła twarz ku Rażyckiemu.

— Panie — powiedziała cichym, stłumionym głosem — widzę, że pan żołnierz... ranny... Nie chciałabym panu powiedzieć nic przykrego... Proszę więc, niech pan przestanie iść za mną... Nie jestem usposobiona do zaczepiek...

Ludwik zmieszał się i zawstydział...

— Przepraszam panią — wyrzekł prawie nieśmiało — nie miałem zamiaru zaczepiać... Szedłem za panią sam nie wiem dlaczego... Nie ja jestem temu winien, ale te pani cudne, cudne oczy...

Ostatnie słowa wyrwały mu się mimowolnie, niemal bezwiednie. Przestraszył się sam, kiedy je posłyszał. Złął się, że obrazić może...

Panna Lidzińska spojrzała mu prosto w twarz, w szczerą, otwartą, młodzieńczą twarz, na której teraz malowało się jakieś dziwne oniesmielenie, czy wzruszenie...

Zrozumiała, że nie chciał jej obrazić... Słowa jego niewiedzieć dlaczego mile zabrzmiały w jej uszach...

— Proszę niech pan odejdzie... — powiedziała miękko.

Kiedy tak patrzyła na niego, spostrzegł w świetle latarni, że długie, czarne rzęsy dziewczyny wilgotne są od łez...

Plakała!... Więc jakieś cierpienie gnało ją z domu w samotność, w ciszę i mrok wieczoru...

Cierpiała?... Dlaczego?... Może kochała kogoś, kto lży jej te z oczu wycisnął...

Coś jakby żądło zazdrości zakłuło Ludwika.

— Jeszcze raz przepraszam panią... Już odchodzę.

— Dziękuję panu...

Rozeszli się w dwie przeciwne strony.

ROZDZIAŁ IV.

— Mówię panu, że te papierosy stanowczo za drogie!

— Proszę wielmożną panią mecynasową, nie mogą być tańsze!

Rudy żyd ze szpiczastą brodą rozłożył ręce bezradnie.

Pani mecynasowa Benertowa, która w eleganckiej tualecie domowej, barwy „starego złota“, kołysała się w krześle bujającym, skrzywiła się z niezadowolaniem.

— Powtarzam, że to za drogo! Weź pan jeszcze gorszy tytoń, nic nie szkodzi!

— Kiedy proszę panią mecynasową, gorszego tytoniu, to wcale już nie egzystuje.

— Wszystko mi jedno, wymyśl pan cokolwiek, byle to taniej kosztowało. Przecież Fiszgold wie, że to dla żołnierzy w szpitalu przeznaczone... Nie mogę się na te prezenty rujnować.

— Nu! Ja wiem, że pani mecynasowa nie chce sobie rujnować, ale ja nie mogę poradzić, chyba, żeby ja do tych papierosów siana dodał, ale to przecie nie pasuje, pani mecynasowo, te dziesięć guldery więcej, czy mniej, co to znaczy — poco ma ten żołnierz krzywić sobie i spluwać i powiedzieć, że jemu ty! paskudztwo dali!

Od dłuższej chwili, Hela Lidzińska stała w progu i przysłuchiwała się rozmowie matki z żydem.

Mocno zaciśnięte usta dziewczyny wskazywały, że to, co słyszy, sprawia jej dotkliwą przykrość.

Nareszcie zdecydowała się położyć kres temu sporowi.

— Panie Fiszgold — wyrzekła z trudem przymuszając się do bladego uśmiechu — i ja także chcę przyłożyć się do tego dobrego uczynku... Podzielmy się z mamusią tym wydatkiem, ja dołożę te dwadzieścia koron!

Żyd zgiął się w ukłonie.

— Jak to panienka mądrze rozsądziła, jak sam Salomon! Nu, mamusia jest oszczędna, to jest dobrze, to jest nawet bardzo dobrze, ale młoda panienka to ma zawsze takie miękkie serce... Ja jutro będę przyniesić papierosy... Całuję rączki i padam do nogi...

Fiszgold zniknął za drzwiami.

Benertowa gniewnie spojrzała na córkę.

— Bardzo jesteś hojna. — syknęła — Ja jestem wprawdzie „potronessą“ stowarzyszenia opieki nad żołnierzami, ale wiem, że trzeba oszczędzać! A ty, ciekawam, czyjemi pieniędzmi tak szafujesz?!

— Mojemi własnymi — odparła Hela śmiało — zarobiłam je lekcyami...

— Tak lekcyami, o które starasz się na złość ojcu i mnie, aby nas ośmieszyć i w jak najgorszym przedstawić światu! Naturalnie każdy powie: skąpy ojczym i nieczuła matka bez serca! A teraz jeszcze zachciało ci się nauczycielką ludową zostać! I dlaczego ty to robisz? Czy brakuje ci czego? A jeżeli nie ze wszystkiego chcesz korzystać, to już tylko twoja wina! Nie zapominaj, moja droga, że nie jesteś jeszcze pełnoletnia!

— O! Pamiętam o tem bardzo dobrze...

— Jesteś harda, uparta i lekkomyślna, jak był twój ojciec...

Hela pobladała, czarne jej oczy zaiskrzyły się.

— Mamo, mamo, tyle razy już powtarzałam, ani słowa złego o moim ojcu, bo...

Matka zmieszała się.

— Ależ ja nic złego nie mówię... Jakżeby mogła!... Twój nieboszczyk ojciec był najlepszym mężem, że wspomniałam o jego wadach, to jeszcze...

— Kochał cię za nadto mamo — przerwała Hela — i miłość swoją przypłacił życiem!

— Co?! Jak śmiesz?! Co przez to rozumiesz?

— O! Rozumiesz ty mnie, mamo, dobrze rozumiesz! Wiem, że wyrzekłam słowa, których nie powinna wypowiedzieć córka do matki, ale dlaczego chciałaś mówić źle o moim ojcu... o moim biednym ojcu... Zresztą dosyć już tej rozmowy, zadalekoby nas to zaprowadziło...

Hela wyszła z pokoju. We drzwiach zetknęła się z młodą, mizerną, snąc chorowitą dziewczyną w skromnej, ciemnej sukni. Dziewczęta pozdrowiły się skinieniem głowy i przyjaznym uśmiechem.

— Cóż?... Lekcja z Lilą już skończona? Jakoś coraz krótsze są te lekcyje — zwróciła się ostro do wchodzącej pani Benertowej, z której twarzy nie ustąpiły jeszcze krwiste plamy, wywołane irytacją.

Nauczycielka zarumieniła się.

— Lekcja trwała przeszło godzinę... Dłuższa lekcyja muzyki jest nawet bezcelową, bo dziecko jest zmęczone...

— No i nauczycielka nie lubi się męczyć. Wiemy, wiemy o tem. Pieniądze brałby każdy, a potem robi się byle zbyć.

Zadrzały blade, niedokrwestość zdradzające wargi dziewczyny! Trudno, musiała wysłuchać; nie mogła tracić lekcyi, bo o nowe trudno, a w domu matka i mały braciszek czekają na jej zarobek.

— Czy panna Antonina miała mi coś do powiedzenia?

— Tak jest! Proszę pani mecenasowej, ja chciałam powiedzieć, że teraz korona dwadzieścia halerzy za lekcyę to trochę mało... Wszystko takie drogie...

Panna Antonina mówiła bardzo nieśmiało, zająkując się...

Mecenasowa zmierzyła ją zdumionym spojrzeniem.

— Co, pani żąda podwyżki?! A to dobre! Ja właśnie chciałam pani powiedzieć, że od pierwszego będą płaciła tylko koronę za lekcyę... Więcej nie mogę... Jak sama pani wspomniała, z powodu wojny podróżowało wszystko strasznie... To przecież horrendum! żeby za parę porządných bucików trzeba było płacić sto i więcej koron! Możliwego kostyumu nie dostanie się poniżej czterystu koron!

— Czy pani mecenasowa sądzi, że dla mnie istnieją tańsze ceny — szepnęła panna Antonina, mimowoli obrzucając spojrzeniem piękny szlafrok pani mecenasowej i jej pantofelki z najdelikatniejszej skóry...

— To trudno... Trzeba oszczędzać, urządzać się, jak kto może. „Wedle stawu grobla“, moja panno Antonino! A jeżeli się to pani nie podoba, to nauczycielek muzyki, chwala Bogu, u nas jeszcze nie braknie i nie trzeba ich przepłacać... To nie szewcy, ani krawcy!

— Proszę pani mecenasowej — wyłkała niemal biedna nauczycielka — ja nie tylko siebie utrzymać muszę, ale starą matkę i młodszego brata...

— Tak? Hm... wie pani co, chciałabym pani dopomóc... Jestem przewodniczącą „Stowarzyszenia zapomogowego dla niezamożnej inteligencji“... Niech się pani zgłosi o zasiłek, moim wpływem poprę pani podanie, ale jeszcze raz powtarzam, że od pierwszego płacę za lekcyę tylko koronę... Trudno, wszystko drożeje!

— Pani mecenasowo! Kiedy ja nie chcę zebrać! Ja mogę przecież pracować, żeby mi tylko więcej za moją pracę płacono.

— Co, jeszcze fochy?! A niechże pani sobie robi, co się pani podoba! O! Moja panno Antonino, takie kaprysy to nie dla biednych ludzi...

— — — — —

— Ny, panie mecynasie, interes zrobimy?

Mecenas Benert bębnił palcami po stole i z pod przymrużonych trochę, siwawych powiek spoglądał badawczo na rudego Fiszgolda, żywo gestykulującego.

— Namysle się jeszcze — wycedził powoli.

— Po co się namyslać?! Na co się namyslać, to interes czysty jak złoto...

Benert uśmiechnął się lekko, odstaniając z poza wazkich warg zęby, plombowane złotem.

— Żeby to był interes czysty, to nie powiem, a czy jest złoty, to się dopiero okaże.

— Ny, dlaczego on nie ma być złoty?! Pan mecynas zarobi i mój krewny zarobi i ja biedny żydek zarobię. Ja także mam familię, ja muszę żyć! A czy ten ładny kawałek gruntu koło goszczynca to będzie miała jedna albo druga głupia chłopka, czy kto inny, to co to za różnica. Mój szwagier bardzo potrzebuje ten grunt i ten dom, on handluje z kołmi i z innym towarem, to w sam raz dla niego miejsce. Nu, co to panowi mecynasowi szkodzi?... Pan mecynas jest ich adwokat, namówi ich, coby one sprzedały, a my się już będziemy znać na grzeszności...

— No, na waszej grzeszności już polegać nie będę... Ściśle do rzeczy — mecenas uczynił palcami ruch, jakgdyby liczył pieniądze — Ile?

Fiszgold wymienił cyfrę.

— Mało! — rzekł krótko Benert — Jeżeli nie chcecie dać więcej, to róbcie sobie sami, zobaczycie, czy co wskóracie!

— Co się pan mecynas gniewa?! Można pogadacz! Mój szwagier dołoży jeszcze sto! Jeszcze mało?! Dwieście! Trzysta?!... Panie mecynas, nie bądź pan taki twardy! To jest przecie taki mały interes, to nic trudnego!

— Ładne mi nic trudnego! Z tą młodą Sojkową, to pół biedy, bo to kobieta lekkomyślna, leniwa, wydaje mnóstwo pieniędzy na ubranie, kawalerów i hulanki, a od czasu, jak mąż jej zginął, rozporządza dowolnie majątkiem... Choć tam jest komplikacya... dzieci małoletnie... No ale toby się dało obejść. Ale ta stara Kopkowa to twardy orzech... Pracuje za dwóch mężczyzn, trzyma ziemię dla synów i nie będzie chciała jej puścić.

(Ciąg dalszy nastąpi.)